Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie 1 Złr. 20 kr. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po 4 kr. za następne po 2 kr.; w dodatku po 3 kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

22. Marca 1856. № 36. Rok trzeci.

Zdybanie w karczmie.

Póki byłem młodszy, nie mogłem nigdy pojąć, dla czego ludzie starsi oskarzają się na złe czasy, chwaląc dawniejsze. Aleźci starzejąc się z dnia na dzień, coraz częściej sam siebie łapię na westchnieniu za czasami dawniejszemi. Czem się to dzieje, nie chcę rozwiązywać teoretycznie, ale nieraz gdy zamarzę o przeszłości, i tyle sobie przypomnę epizodów codziennngo życia, przeżytych lub zasłyszanych, nie mogę bez żalu wyznać, że dzisiejsze życie grzeszy zbytnią jednostajnością.

Wszystko jakoś teraz tak gładko, ślizko, goło i równo, prawdziwie jakby życie toczyło się po kuli żelaznej. Od najzimniejszej północy do najgorętszego południa można świat cały przelecieć, nie zdybawszy nic szczególnego, ani w ludziach, ani w zdarzeniach. Dawniej jakoś i drogi były nierówne, i ludzie nie tak jednostajnych usposobień. Zdarzyło się zapewne i często, że się w podróży na taki fatalny padło gościniec, że i koło się złamało, i człowiek na twardą wyleciał grudę; ale za to o trzy staje od zdarzonego wypadku był stary dwór szlachecki, z całą poczciwą rodziną szlachecką, o złotych, gościnnych sercach. I koło naprawili, i guza wysmarowali, i tak się jakoś miło zasiadło przy płonącym kominku.

Ten o tem, tamten o owem jak zaczęli mówić, występywało na wierzch całe nasze życie, chropawe, nie jednostajne, ale pełne śmiesznych i czułych epizodów. I ledwie się poznawali, pokochali, pokłócili, pogodzili i rozjechali z serdeczną pamiątką więcej w sercu.

Chodziły gdzieś jeszcze po świecie jakieś oryginały, różniące się strojem i rozumem, i obejściem się, i rozmaitemi nawyczkami, których dzieje rozchodziły się po kraju i stanowiły pewną poezją, przerywającą jednostajną prozę życia.

A dziś pożal się boże. Żyjesz z ludźmi i chodzisz pomiędzy nich, jakby po ogrodzie włoskim o równo strzyżonych szpalerach.

Lecz dosyć już tego wstępu za długiego do jednej z licznych pamiątek, które mi się czasem, gdy mocno się zasępię, cisną do głowy miłem wspomnieniem, uśmiechem wesołym do ust.

Będzie lat temu blisko czterdzieści, sławnym był w naszej prowincji i stolicy pan hrabia P. I to sławnym jak to w onych czasach zupełnego spokoju często się trafiało, nie z jakich wielkich dzieł, czynów, zdarzeń lub własności, ale ot tak sobie, dla jakiejś mniej znaczącej właściwości, często gęsto, dla jakiejś wady wydatniejszej.

Hrabia P. był to młody jeszcze człowiek, który zdaje się za późno się urodził, aby mógł należeć do życia czynnego, które tylko co było przebrzmiało. Ale że miał krew gorącą, pociąg jakiś do awanturniczości, wyrobił się z niego zawadyjaka i rębajło niepospolity. Już to podobno jak wilka do lasu, tak Polaka ciągnie do szabli, którą jakoś mu najmilej i najzgrabniej machać. I tak się do tego przyzwyczaił życia, że nie mógł żyć bez awantur. Dzień ten uważał za stracony, w którymby jakiej nie znalazł zaczepki. A zaczepka każda, to u niego był już pojedynek. A pojedynek, to tyle znaczyło, że jego przeciwnik odchodził z łbem rozwalonym, twarzą poszramowaną, a przynajmniej z kilką palcami odciętemi. I do takiej przyszedł sławy, że go ludzie, dbali o całość członków, omijali jak najuprzejmiej, bo o powód do awantury tak mu było łatwo, jakby piórko osmalić.

— Czegoż chciałeś od tego poczciwca spokojnego? pytałem go nieraz.

— Jego nos spiczasty nie podobał mi się! była najczęściej jego odpowiedź.

Owoż z ust jego własnych słyszałem opowiadane zdarzenie, które musiało być prawdziwe, gdy mi je opowiedział jeden z uczestników tego zdarzenia, i to ten właściwie, który nie najkorzystniej z niego wyszedł.

Było to jakoś pod kontrakty lwowskie, które w owym czasie nie odbywały się tak cicho i spokojnie jak teraz, ale głośno i szumno, hucznо i bogato. Na kilka tygodni naprzód w całej prowincji wielki panował ruch, bo się po dworach i dworkach szlachta wybierała. A cóż dopiero działo się po wszystkich drogach i gościńcach, na które wysypały się powozy, bryczki i dryndulki najrozmaitszych i najpocieszniejszych kształtów.

Owoż hrabia P. jechał wówczas bocznym traktem, i wieczorną burzą zagnany, zajechał do starej a ogromnej karczmy podolskiej, samotnej na obszernym polu stojącej.

Pańskim zwyczajem narobili ogromnego krzyku i łomotu. Z karczmy wypadł szpakowaty żyd z brodą w jednem, a gamurką w drugiem ręku.

— Czy masz stancją osobną? krzyknął hrabia głośno i groźno.

— Mam jasny panie, odrzekł gospodarz, kłaniając się wysokiemu i dorodnemu paniczowi aż do kolan.

— A więc prowadź mnie do niej.

— Z przeproszeniem jaśniego pan...

— Milcz i prowadź!

— Z przeproszeniem jaśniego pana... ja nie mogę...

— Co to? ty nie możesz? wrzasnął młody pan i zbliżył się do żyda z mimiką bardzo wyraźną i groźną.

— Bo stancja już zajęta, wyrzekł wreszcie żydek drżącym głosem.

— Zajęta! i przez kogo?

— Przed godziną wjechał...

— Kto taki?

— Ja nie wiem... oto tu stoi jego bryczka, i wskazał świecą stojącą w kącie skromną bardzo, obdartą i obchłapaną dryndulkę.

— To jakiś ekonom!...

— Jak się jaśnie panu podoba! odpowiedział żyd, kłaniając się aż do ziemi.

— Świeć i chodźmy!

Nie było co robić. Żyd poświecał, a za nim szedł hrabia w towarzystwie kozaka swego, Semena, na którego znacząco kiwnął. Bo w onych czasach, jak to mówią po cholewach, można poznać było pana po kozaku nadwornym. Był to ostatek pańskości i bundziuczności, z lepszych czasów pozostałej.

Weszli do gościnnej izby. Jegomość z dryndulki nie spał jeszcze, ale spokojnie dopalał fajeczki tureckiej, na krótkiej antypce założonej... Na krzyk wpadających podniósł się trochę, i z wielką flegmą przypatrywał się i przysłuchiwał wchodzącym, jak by go to nie obchodziło. O ile poznać można było przy żydowskim ogarku, był to już człowiek nie młody, z dobrze już szpakowatą czupryną na głowie, i takimże wąsem, krótko strzyżonym.

— Jestem zdrożony! zawołał hrabia z rezonem.

— A mnie co do tego, odrzekł leżący jegomość, bez gniewu i bez szyderstwa, ot tak sobie z całą obojętnością.

— Zmęczony i znużony!... rozumiesz pan.

— A mnie co do tego!

— Chciałbym odpocząć, a więc spodziewam się!

— A mnie co do tego! nie przestawał odpowiadać szpakowaty jegomość, co naturalnie młodego zawadyjakę do ostatniego gniewu przyprowadziło.

— To aspanu do tego, że się wynieś zaraz, bo ja w tej stancji chcę i będę nocować.

— A więc to o to idzie?...

— A o to! tylko prędzej, bardzo proszę.

— Kiedyż mnie tu tak wygodnie!..

— Semen! pomóż no panu, by się prędzej wyniósł.

— A więc koniecznie mój mości dobrodzieju! tak mi było mówić od razu.. Pańskiego Semena nie potrzebuję. Mnie mój Grześ pomoże.

Jakoż wkrótce za pomocą Grzesia, furmana w prostej siermiędze, wyniósł się stary jegomość, a młody hrabia zniósł się do żydowskiej izdebki. Przy wychodzie spojrzał starowina na intruza uważnie, ale spokojnie, i zażywszy tabaki ze starego rożka, wyniósł się, nie rzekłszy ani słowa.

— Oczywisty ekonom! mruknął do siebie hrabia, rzucając za odchodzącym spojrzenie pogardliwe, którem mu odwdzięczył okazaną potulność.

Rozebrał się i zasnął najspokojniej, a że był rzeczywiście zmęczony, do białego dnia zaspał. Zbudziwszy się, ledwie pamiętał o wczorajszem zdarzeniu. Ubrawszy się, wyszedł na przedsień, by przyspieszyć odjazd. Niedaleko żydelka siedział wczorajszy wypędzony jegomość, i z tej samej co wczoraj smolił fajeczki. Taż sama dryndulka stała na środku ogromnej karczemnej stajni; Grześ leżał w niej na brzuchu z głową podniesioną, i wywijał prostym batożkiem jak najspokojniej. Żadnego nie widać było znaku, by się w dalszą wybierać chcieli podróż.

Młody hrabia, przypomniawszy sobie nagle wczorajsze zdarzenie, spojrzał uważniej na staruszka z fajeczką. We dnie nie wydał mu się tak bardzo stary, chociaż mnogie miał na twarzy zmarszczki, i niepospolitą szpakowaciznę na głowie. Twarz była jak wczoraj spokojna i dobroduszna. Wielkie jasno-błękitne oczy patrzały przed siebie z pewną zimną obojętnością. Na widok młodego hrabiego, podniósł się z miejsca, i uchylił granatowej rogatywki, która ledwie pokrywała gęstą czupryne, zsuwając się na lewe ucho.

Hrabia nawet się nie odkłonił, tak go oburzyła ta potulność.

— To jakaś podła natura, pomyślał sobie. Przecież go wczoraj wyrzuciłem.

I nie obejrzawszy się, wszedł do wielkiej izby gościnnej, szpakowaty jegomość za nim, i znowu najgrzeczniej skłonił się hrabiemu.

Młodzieniec mruknął coś tylko, i odwrócił się z widoczną odrazą.

— Dzień dobry panu hrabiemu! ozwał się znowu grzeczny staruszek z uśmiechem, kłaniając się po raz trzeci.

— To nawet nie ekonom! pomyślał hrabia; chyba jakiś mandatarjusz, próbuje czy nie wykpi co u mnie pieniędzy. Muszę ja go z mańki zajść.

— Czego mi się aspan kłaniasz! ozwał się głośno z miną szyderczą i pogardliwą.

— Taże przecież poznaliśmy się wczoraj! odpowiedział stary z potulnym uśmiechem i swym jasnym, otwartym popatrzył na niego wzrokiem. Było coś poczciwego w tem spojrzeniu, co nawet chwilowo dotknęło młodego hrabiego.

— Piękne mi poznanie! mówił dalej szyderczo.

— Mogło być zapewne lepsze!.. ale cóż robić, tak się panu podobało...

— Może pan urażony mój mości...

— Ba!.. i cóż by mnie to pomogło chudemu pachołkowi.

— Więc nie pojmujesz że urażony..

— Ta co takiego?

— Powinien ująć się o swój honor.

— Słyszał ja tam coś o tem... albo ja wiem co robić!...

— Wyzwać do stu djabłów, jeżeliś urażony i nie tchórz!...

— Ba!.. ta zapewne! odrzekł stary i poskrobał się w głowę... ale pan hrabia mnie nie zna... i potem gdzie tam mnie staremu i chudemu pachołkowi zdrową głowę pod ewanielją kłaść..

— Że aspana nie znam, mniejsza o to, kiedym go nie znał urażając, to go nie potrzebuję znać, dając mu honorową satysfakcją...

— Ba!.. ale!.. kiedy bo.. ja sam nie wiem...

— Może nie masz pałasza? ja mam dwa kapitalne, tną jak brzytwa, a jednakowe jak bliźnięta.

— Mam i ja tam w bryczce stare jakieś żelazo... tępe to i poszczerbione...

— Jak chcesz, czy swoim, czy moim!... Semen, uprzątnąć stajnię, powyrzucać konie i ludzi, zamieść, i podać pałasze.

Stary jeszcze się skrobał, oglądał, coś mruczał, i niby medytował, a nawet modlił się podobno.

— Ha! cóż robić! wyrzekł wreszcie, widząc że w mgnieniu oka stajnia była wyprzątniona i czysta, i że Semen stał na środku z dwoma jak srebro świecącemi pałaszami.

Poszedł więc do bryczki i wyjął z niej stare jakieś szablisko.

— Zaśmiałem się na widok tego starego żelaziwa! mówił do mnie hrabia P. opowiadając mi to zdarzenie w lat kilkanaście. Oprawa była stara, skórzana, okropnie przetarta; rękojeść z prostego żelaza bez gardy. Trzeba będzie dać mu małą nauczkę, pomyślałem sobie, ale dalibóg nie warto.

— Ha kiedy mam się już pojedynkować, to już wolę moją starą szablą, jak temi scyzorykami, lekkiemi jak pióro! ozwał się stary i nie bez trudu dobył starą szablę.

„Śmiałem się jeszcze, mówił pan P. ale nie mniej przeto z ciekawą uwagą przypatrywałem się starej szabli. Było to coś tak ogromnego i tak wielkiego, jak podobnego nic w życiu nie widziałem. Stali snać nie było, bo cała szabla pokryta była plamami rdzy. Ostrze tylko, gdy ją podniósł, łysnęło stalą więcej, nieco wyszlifowaną. A szerokie było szablisko, aż strach; szersze od trzech naszych pojedynkowych pałaszów.

„To trzeba siły! pomyślałem sobie, i porwałem za jeden z moich pałaszów, nie bez pewnego niepokoju, bo z taką szablą jeszcze się nigdy w życiu nie zdybałem. Stanąłem w pozycji, i spojrzałem na przeciwnika. Zastanowiłem się nad zmienioną jego postacią. Stary odmłodniał o lat dziesięć; mianowicie jego jasne, potulne oczy, w których zdawało mi się dostrzegać głupowatą dobroduszność, takim łysnęły ogniem, że po raz pierwszy uczułem rodzaj dreszczu wzdłuż kości pacierzowej.

„Czy djabeł wstąpił w mego ekonoma, razem z tą szatańską niewidzianą dotąd szablą, pomyślałem. Lecz nie miałem czasu do długich medytacji.

— W imię ojca i syna i ducha świętego! wyrzekł głośno pełno i dźwięcznie, i zrobił znak krzyża świętego.

— No broń się mosanie, dodał, i już mnie natarł. A padł na mnie takim obcesem, i z takim impetem, żem ledwie pierwszej potrafił się oprzeć natarczywości.

„Użyłem całej mojej sztuki szermierskiej, a przecież dałem jej nie mało dowodów. Gdzie tam. On też właśnie trzymał się reguł. Machał i machał to krzyżową sztuką, to młyńca, ale machał tak szybko, tak silnie, tak natarczywie, że ani myśleć mogłem o bronieniu się. Ot wyznam ci, i nie wstydzę się tego, ćmiło mi się w oczach, i istotnie wszelkie barwy mieniały mi się przed oczami. Ależ bo to był djabeł nie stary, szatan nie szabla. Jak ci zaczął machać, to mu szabla nie młyńcem, ale wichrem latała w około siebie; a jak ci krzyżową sztuką wywijał, to w jednej chwili widziałem to przeklęte szerokie szablisko i nad głową i przy twarzy, i koło piersi i koło nóg...

„Nie było rady! musiałem się cofnąć. Stajnia była ogromna. Czejże się djabeł zmęczy, i znajdę jedną, choćby pół chwilki... Ale, zmęczy się!.. Powiadam ci że się nie zmęczył ani na chwilę, tylko machał ci a machał coraz żywiej, coraz zapamiętalej. Daję ci słowo, że mnie w uszach dzwonić poczęło.

„Cofam się i cofam... cofam długo, bo stajnia ogromna, a stary szatan macha i macha coraz bliżej, coraz silniej, coraz zawzięciej. Oczy świecą jak dwie pochodnie, a usta ściśnięte milczą; ani jednym nie ozwą się wykrzyknikiem. Niech go djabli wezmą, co ja przecierpiałem, bo to i wstyd, i strach!.. ale istotny strach...

— A cóż będzie, pomyślałem sobie, gdy się już dalej cofać nie będę miał miejsca! Co w ówczas zrobię?

„I ledwie tom pomyślał, aż tu grzbietem uciąłem o nierówną karczmy ścianę. Kusa rada!.. tu niema ratunku.. Przepadniesz od tego, czem wojowałeś.. dobrze ci tak!.. Takie były myśli moje ostatnie, bo czy co dalej myślałem czy nie, ledwie pamiętam, słysząc ciągły świst, i czując po twarzy i ciele wiatr jaki robiło to szablisko rozmachane.

Nagle stary zatrzymał się, raz jeszcze uderzył po pałaszu przeciwnika, który też wyśliznął się z omdlałej i zmęczonej ręki. Szablę puścił w dół, i popatrzył na przeciwnika wzrokiem zupełnie zmienionym. Nie było już w nim tego zapału, ale natomiast wystąpił, na twarz oczy i usta uśmiech szyderczy, w którym przebijała przecie poczciwa jakaś dobroduszność...

— No i gdzież twoje junactwo? mój ty młody paniczu, ozwał się do bladego i zdumiałego hrabiego. Więc to ty jesteś ten zuch co tam po mieście i po wsi straszysz ludzi swojemi awanturniczemi awanturami... zawadyjaku! pojedynkarz!... junak:... Tfu! a teraz stoisz jak trusia przed starym dziadem i starą szablą. A bezbronnego umiesz wyrzucać z łóżka.. He!.. a potem pod ścianę zmykasz. He!... Myślałeś żeś złapał starego niedołęgę... He!... Słuchajże młodziku, żeby ci mniej było wstydu, to ci powiem, żem szlachcic i lepszy może od ciebie, bo się zowię N. N. i pieczętuję Starzą, choć mam tylko mały przysiołek. I ty nie byłeś na świecie, jeszcze mój zbladły bohaterze, kiedy ja pod Starostą Wareckim i pod panem Tadeuszem hulałem po świecie, nie z takim lichym scyzorykiem, ale z tą oto poczciwą polską szablą. I jeżelim ją dobył, ją, której nie myślałem w tak błahej dobywać sprawie, to tylko, aby dać ci nauczkę, mój ty pojedynkowy zuchu!.. I byłbym cię tą moją poczciwą Rewerą, bo Rewera nazywa się ta szabla, którą mam od dziadka mego jeszcze, byłbym cię jak bóg żywy pokiereszował na kapustę, gdyby mi nie żal było mojej szabli.. I nareszcie, dodał po chwili, jest w tobie coś dobrego, kiedyś nieznajomemu, obraziwszy go, nie pytając o tytuł, nazwisko, dał satysfakcją honorową... A więc teraz chłopcze! ochłoń, daj tu rękę i uściśnij starą poczciwą

*

szlachecką rękę. Nie wiele już tam takich uściśnień w waszym śniecie, i chodźmy napić się starki, jakiej także już nie pijecie.

— Grzesiu! a podaj no mi puzderko!

Na tem skończyło się zdybanie w karczmie hrabiego P., którego w dni kilka przyjaciele widzieli z niemałem podziwieniem chodzącego ręka w rękę na kontraktowych klubach w jezuickim ogrodzie, z jakimś nieznanym szlachcicem, w szaraczkowej kapocie.



Odpowiedź na „Zaskarzenie.“

Wyjdź bracie mlody za twoje sioło,
Tam na mogiły, na polu,
I przytul usta serce i czoło:
Im wyspowiadaj się z bolu.

Może rozpękną sercem ogrzane,
wstanie hufiec marsowy,
A ty mu pokaż struny stargane,
Pokaż cierń serca i głowy.

W posępnej nocy przy surm odgłosie,
Rozwiną sztandar, usiędą,
Krwawe pancerze złożą na rosie,
I serca z piersi dobędą.

Patrzaj w te serca! co tam gorzało,
Na struny z miłością chwytaj!
A jeślić jeszcze tego za mało,
To już się mężów nie pytaj.

Ale pospieszaj w krainę włoską,
Petrarki spytaj się cienia:
Jak przyhołubić dziewicę boską,
I zakląć lubej spojrzenia?...

A wtedy nawiąż struny z jedwabi,
Lutnia, co brzmiała żelazem,
Niech jak turkawka grucha i wabi,
Łzy i uśmiechy ma razem!

Mieczysław R...



Henryk Heine.

Ciąg dalszy.

Do 1830 mieszkał kolejno w Hamburgu, Berlinie i Mnichowie. Po 1830 mieszkał ciągle w Paryżu, dokąd jako politycznie podejrzany wyjechał, i aż do śmierci ciągle prawie bawił. Z pism jego prócz wymienionych wyszły jeszcze: *Dodatek do nowej pięknej literatury w Niemczech* (. 1833) *Salon* (r. 1835) *Szkoła romantyczna* (r. 1836) *Szekspira dziewczęta i kobiety z objaśnieniami* (r. 1839) *Heine o Börnem* (r. 1840) *Nowe pieśni* (r. 1846) *Zimowa bajeczka*, dowcipny opis jego ostatniej wycieczki do Niemiec r. 1844; *Atta Troll* (r. 1847) *Romanzero* (r. 1851) który stanowi niby trzeci tom jego poezji, z dodatkiem szczególnego dosyć epilogu, w którym wypowiada w sposób trochę na mistyfikacją wyglądający, swój stosunek do wiary pozytywnej; i nakoniec, *Doktor Faust*, rodzaj wykrzywiającego się tanecznego poematu.

W latach 1853, 54, 55, pojawiły się artykuły jego do gazety powszechnej pisane, w francuskiem tłumaczeniu pod tytułem *Lutezia;* i wydanie francuskie *Salonu*. Wszystkie prawie francuskie tłumaczenia, prócz tłumaczeń o których wspominaliśmy Gerarda de Nerval, są liche. Niemniej przeto Hejne tłumaczeniami temi więcej niemal się cieszył, niżeli oryginalnie wychodzącemi utworami własnemi. W tej mierze mimo całej swojej wyższości umysłowej był on nadzwyczajnie próżny. Każda krytyka oburzała go, i wprowadzała na dłuższy czas w zły humor, który przechodził w srogi sarkazm. Biada temu który mu się wówczas w ręce dostał.

Od roku 1836 pobierał on od rządu francuskiego znaczne dosyć wsparcie, które mu dawano regularnie co roku, aż do lutowej rewolucji w r. 1848. To dało powód jednemu z najsilniejszych zarzutów jaki mu czyniono za życia, i który po śmierci jego nawet cięży na jego pamięci. Zarzucono mu, że jest umyślnie za to od rządu francuskiego przez ręce Guizota płacony, aby w duchu jego ministerjum pisywał artykuły do gazet niemieckich.

Wyznać potrzeba że wszystkie te zarzuty nie opierają się na żadnym fakcie odrębnym, jeno na próżnych gazeciarskich pogadankach; wszakże gdy Hejne w swojej odpowiedzi dowodził że przez lat kilka nic nie pisał o stanie politycznym we Francji, rzucono mu znowu, że za to był płatny aby nic nie pisał. Wymownie i dowcipnie tłumaczy się poeta z tych zarzutów, w listach pisanych z Paryża. Nie bez słuszności robi on uwagę, jak łatwo być obmówionym tam gdzie idzie o różnicę zdań, a mianowicie w chwili takiej jak po rewolucji lutowej, kiedy wszystkie najzawziętsze rozbudziły się namiętności. Dowcipna jest uwaga jego, że za pierwszej rewulucji *gilotynowali*, a za drugiej rewolucji *guizotynowali*, zabijając każdego tem powiedzeniem, że ma z Guizotem do czynienia.

Nie chcemy w tej mierze szerzej zdanie nasze rozpisywać; powiemy tylko w krótkości: że jeżeliby jaki zarzut można było uczynić Hejnemu za to, iż bierze od rządu roczne wsparcie, to chyba ten jeden, że za nadto był słabego charakteru, za nadto może w życiu codziennem przyzwyczajony do użyć materjalnych, aby mógł znosić niedostatek. Gdy ten w Paryżu dał mu się czuć, nie mógł się oprzeć pokusie przyjęcia wsparcia, które z resztą rząd francuski z szlachetną wspaniałomyślnością żadnemu nie odmawiał wychodźcowi. Łatwo to z tego względu czynić zarzuty, mianowicie po smacznie zjedzonym obiedzie, i niezawodnie pięknie by to było, gdyby każdy człowiek wyżej postawiony na drabinie umysłowej, miał tyle hartu duszy, by raczej nędzę znosił, niż przyjmował wsparcie, które często jeżeli nie zabija, to przynajmniej nadweręża czystą niepodległość człowieka; lecz gdzież dziś szukać tego hartu duszy, gdzie tego Nzaparcia się? iech by się zapytali sami siebie, ci co temi zarzutami tak chętnie kamienować lubią. Za dawnych wieków bywali pustelnicy, korzónkami żyjący; ale dziś niechby który z nich choć kilka dni przemieszkał w której ze stolic europejskich, a

cóż dopiero w Paryżu, niewiem czyby tak łatwo przyszło mu restauracją zamienić na korzonki, przyjemne i dowcipne towarzystwo ludzi wykształconych, na puszczę skalistą z rykiem dzikich zwierząt w około siebie, a gromem burz nad sobą.

Zdaje się nam że na to właściwie zredukować można zarzuty te, Hejnemu czynione, bo się nie opierają na żadnych innych rzetelnych, nie próżnemi tylko słowy dowiedzionych podstawach. I to stanowisko z jakiego zapatrujemy się na ten cały zarzut, wydaje nam się tem słuszniejsze, że ten pociąg do materjalizmu odzywał się w całem życiu, i całem nawet Hejnego talencie. On w pismach swoich wszędzie i zawsze lubi się dotykać materji, jeno umie z niej dobyć choćby iskierkę poezji, i wlać ją w formę poetyczną i harmonijną. Ztąd pochodzi ta jemu właściwa poezja kontrastów; z tąd to szyderstwo, które zawsze i ciągle jakby śmiejący się szatan unosi się po nad jego wszystkiemi utworami. Bo czyliż nie największy kontrast, nie najwyższą jest ironią w tem wiecznem zdybywaniu się prozy i poezji, materji i formy, które w ciągłej są walce, przez całe życie jednego człowieka, i przez wszystkie dzieje narodów.

W chwilach natchnienia, gdy duch na chwilę wyrwany z więzów materjalnej rzeczywistości, uleci w górę, i zda się wszystko w koło siebie porywa za sobą, by pobujać po czystym marzeń i ideałów eterze, dobywa z łona piersi serdeczne tony, i chciałby wszystko i wszystkich w koło siebie porwać do wtóru, własnych natchnień godnego. Nadaremnie! ciężka i niesforna materja nie da się wcisnąć w eteryczną formę ideału! Zewsząd w koło poety miasto wtóru boskiego, odzywają się tony najfałszywsze i najpiskliwsze, prawdziwa kocia muzyka ludzkich zdań, przesądów i wymagań! Chwila natchnienia przemija, a poeta ostatni jeszcze wzrok zrzucając z góry, musi zaśmiać się śmiechem szyderskim na widok tego wszystkiego, co mu się tam w dole jakby w śnie gorączkowym najdziwaczniej przekrzywia.

D. n.

Korespondencja z Poznańskiego.

(Marzec 1856

Ciąg dalszy.

Do bajki tej już nic więcej dodać nie umiem. Oby tylko poznać chciano się na tem, że ta bajka to nie bajka!

Gdyby wiekopomny nasz Marcinkowski powstał z grobu, cóżby dziś powiedział! On wysilił wszystkie swoje starania i wpływy, oddał życie swoje dobru tej ziemi, aby tylko w niej zakwitła rodzinna oświata, przemysł, handel i pomyślność; on to utworzył towarzystwo naukowej pomocy, aby tej cząstce tak głęboko w zachód wsuniętej, nie zabrakło własnorodnej oświaty, aby nie zabrakło ludzi, on to zbudował bazar, aby był ogniskiem polskiego przemysłu i handlu, oraz miejscem, jednoczącem obywatelstwo ziemskie. I szkoły uczącą się młodzieżą są przepełnione, i towarzystwo N. P. łoży rocznie tysiące na jej wykształcenie, i na uniwersytetach pruskich tyle znajduje się polaków z Księstwa i Prus, jak pewno nigdy więcej przedtem; a jednakże nie ma żadnego objawu wyższego, umysłowego życia. Dziwny to fenomen. Wprawdzie rzemieślnicy i kupcy polscy, których nigdy bez poparcia czy materjalnego czy moralnego nie wypuścił od siebie szlachetny doktor, nie upadają, owszem rozszerzają swe warsztaty, fabryki i sklepy; ale jakże obok tego wytłumaczyć sobie fakt następujący? Oto o kilkadziesiąt zaledwie kroków od owego gmachu, dla krajowego handlu, przemysłu i skoncentrowania życia wystawionego staraniem Marcinkowskiego, buduje kilku obywateli księstwa nowy, wielki hotel jakiemuś przybyszowi z Berlina!

Ale odwróćmy wzrok od tego smutnego obrazu, zliczmy przyjemniejsze nowiny z księztwa, chociaż ich bardzo skąpo. Postaram się zebrać przynajmniej literackie nowiny o płodach, które w ostatnim czasie, mniej więcej od roku, z tutejszych drukarń wyszły na widok publiczny. Największe zasługi ma księgarnia J. K. Żupańskiego, która od wielu lat nie przestaje czynić wielkich nakładów. Wydała od roku następujące dzieła:

1. Polska, dzieje i rzeczy jej, rozpatrywane przez Joachima Lelewela tom III. (w r. 1855) i tom IV. (1856). Całe to dzieło ważne, umiejętne i obszerne, składać się będzie z 7. tomów. Każdy tom stanowi osobną w sobie całość, i dla tego dzieło to bez wszelkiej szkody drukować się może tak dobrze od pierwszego, jak i od ostatniego tomu. Wyszłe dotąd dwa tomy zawierają tom III. Uprzednia myśl, czyli słowa do poszukiwań wstępne; Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej; Historyczna parallela Hiszpanii z Polską w XVI., XVII. i XVIII. wieku. Tom zaś IV. obejmuje: Dostojności i urzędy, Herby w Polsce, Pojedynki w Polsce, Grobowe królów pomniki, i Pszczoły i bartnictwo w Polsce. Nie w pobieżnej korespondencji jest stosowne miejsce do rozszerzenia się o tak uczonem i i obszernem dziele wielkiego historyka.

2. Zbiór rytmów Kaspra Miaskowskiego, teraz do druku po raz trzeci podany, przejrzany, objaśniony i wiadomością o życiu i pismach Miaskowskiego opatrzony przez Jana Rymarkiewicza. Poznań 1855. Z wielką starannością pan Rymarkiewicz zebrał wszelkie wiadomości o życiu tego wielkopolskiego poety, który w kilku pieśniach religijnych wzniósł się do prawdziwej wielkości poetycznej, dla czego zapewne niektórzy na równi a nawet wyżej stawiają go od Kochanowskiego, na co nigdy ścisła krytyka się nie zgodzi. Miaskowski względem Kochanowskiego i uczuciem i głębokością myśli i formą, zawsze niższe zajmować będzie stanowisko. Nie ma w nim ani tej prostoty obok głębokiej zacności, ani tych mnogich prawd mądrości, wysnutych z ducha narodowego, ani tej dobitności słowa i wdzięku, które to przymioty czyniły go przed 300 laty i czynią jeszcze dziś Kochanowskiego tak ulubionym poetą. Zawsze Kasper Miaskowski godzien jest nowego i tak ozdobnego wydania, godzien być w ręku każdego literata i miłośnika ojczystej literatury, a nawet kształcącej się młodzieży, godzien krytycznego rozbioru i umiejętnego porównania z innymi Zygmuntowskiemi wieszczami. Brak nam dotąd umiejętnych a krytycznych rozbiorów naszych pisa-

rzy, czy nowszych czy starszych. Tutaj otwiera się obszerne pole przyjemnej i użytecznej pracy dla profesorów literatury polskiej przy wyższych zakładach naukowych; niechajby każdy z nich wziął do opracowania jednego tylko autora, a wyrobiłby się zarazem rzetelny sąd o naszej literaturze, moglibyśmy się doczekać istotnie dobrej, krytycznej historji literatury polskiej.

3. *Nauka prozy* przez Jana Rymarkiewicza. Poznań 1855. Znana jest powszechnie „Nauka poezji Ciegielskiego“ z stosownemi przykładami na wszystkie rodzaje poezji, książka szkolna bardzo użyteczna, która już kilka doczekała się wydań, lubo jej zarzucić można, że teorją poezji rozwija zbyt ciężko, za nadto umiejętnie, słowem nie dość przystępnie dla uczącej się młodzieży. Otóż na wzór tego podręcznego dzieła przedsięwziął pan Rymarkiewicz bardzo pożyteczną a potrzebną pracę „Naukę czyli teorją prozy“ z stosownemi przykładami. To, co dotąd drukiem ogłosił, jest dopiero początkiem pracy, jest wstępem i częścią pierwszą, zawierającą ogólne prawidła stylu. Z upragnieniem czekamy dokończenia a szczególnie ciekawi jesteśmy przykładów na wszystkie rodzaje prozy. P. Rymarkiewicz pracuje bardzo sumiennie, dla tego spodziewać się po nim można pracy dojrzałej; dla dobra uczącej się młodzieży życzylibyśmy sobie tylko, aby starał się dawać definicje jak najprostsze; każda książka szkolna odznaczać się powinna szczególnie prostotą, t. j. jasnością w wykładzie.

4. *Grochowy wieniec,* komedja A. Małeckiego. Jest to według naszego zdania, całkiem chybiona praca, nieodpowiadająca wymaganiom sztuki, nieodznaczająca się wybitnością charakterów, dramatycznością i zacnością scen, wiernością przedmiotu, nie daje dostatecznego zajęcia, słowem nie robi nigdzie głębszego na czytelniku wrażenia. Czemuż p. Małecki, tak ukształcony i zdolny pisarz, nie obierze przedmiotu do pracy, odpowiadającego jego zdolnościom! Na chwilę nie wątpimy, że gdyby tylko chciał, dałby nam n. p. najlepsze monografie i umiejętno-krytyczne rozbiory autorów zygmuntowskich.

5. *Zbiór wiadomości do historji sztuki lekarskiej w Polsce* przez Dr. Gąsiorowskiego; tom IV i ostatni. Poznań 1855. O znakomitem tem dziele uczonej, dwudziestoletniej pracy niezmordowanego miłośnika rzeczy ojczystych, od dawna już wszystkie niemal pisma polskie wiadomości podały. Autor tysiące rozrzuconych dzieł, kronik, pism i broszur przewartował, aby mozolnie pozbierać wiadomości do historji sztuki lekarskiej u nas; wyciągnął na jaw z ukrycia mnóstwo dzieł nieznanych lub zapomnianych, pomnożył o kilka set numerów bibliografią polską, skreślił znaczny poczet biografii wielu zasłużonych a mało albo wcale nieznanych dotąd mężów, słowem, godne zajął Dr. Gąsiorowski miejsce obok Bentkowskiego, Bandtkiego, Jochera, Wiśniowskiego i t. d.

6. *Lirenka, Zachwycenie i Błogosławiona* Teofila Lenartowicza. Poznań 1855. Zachwycenie i Błogosławiona są osobno wydane, dwa niewielkich rozmiarów ale dziwnej piękności poemata, znane już czytającej publiczności ze Szkółki dla dzieci, pisma ulubionego przez poetę, w którem mnóstwo ogłosił swych utworów. Lirenka jest zbiorem już ze Szkółki znanych, już też nowych poezji miłych, jak wonne, polne kwiatki, uszczknięte o majowej rosie. Lenartowicz ogromne w ostatnich latach uczynił postępy; wdziękiem słowa i pomysłami najwięcej zbliża się do Bohdana Zaleskiego; w naiwnej zas prostocie, prawie dziecęcej, nikt mu nie wyrównywa. To też utwory jego stały się tak ulubionemi dzieci tutejszych wierszami, że większą ich część, ogłoszonych w Szkółce, umieją na pamięć. I to jeszcze dodać trzeba na pochwałę poezji L., że z równą chęcią uczą się ich dzieci we dworach, jak i wiejskie w szkółkach elementarnych. Do najpiękniejszych należą oprócz Zachwycenia i Błogosławionej, Mały światek, Wiachna, Kalina, Mazur za wołami, Jak to na Mazowszu i t. d. Ze wszystkich dotąd nam znanych poezji, utwory Lenartowicza najwięcej się zgodzą z poezją, prostotą i wiarą ludu naszego; to też mają swoją cechę odrębną, charakterystyczną i nigdy nie pójdą w zapomnienie. Wielka szkoda, że rzewny, serdeczny, czysto narodowy i ludowy ten poeta pędzi dnie z daleka od kraju, *) w wielkiej tęsknocie do ogniska rodzinnego, do ludu naszego, do pól i równin naszych, z czem zrósł się wszystkiemi stronami ducha i serca; tam za granicą talent jego bez pokarmu właściwego prawie usycha, tutaj wciąż byłby podsycany tysiącznemi wrażeniami. Jesteśmy przekonani, że gdyby L. żył na własnej ziemi, wysnułby nam z swej duszy i serca jeszcze raz tak wielkie mnóstwo najwdzięczniejszych pieśni, które szybko rozdźwięknęłyby po dworcach i chatach w całym kraju.

*) Bawi obecnie L. w Rzymie i wybiera się na kilka miesięcy do ziemi ś.

D. n.

Oświadczenie.

Z niewypowiedzianem zadziwieniem wyczytałem w Nrze 58mym *Czasu* list Wgo Wincentego Pola do Redakcji tegoż dziennika, mający być odpowiedzią na protestacją moją, w Nrze 28mym *Nowin* zamieszczoną. Skoro do tak nie miłej dla mnie sprawy wmieszanem zostało tyle zasłużone, a wysoko przeze mnie cenione nazwisko Wgo Wincentego Pola, poczytuję sobie za obowiązek sumienia następujące złożyć oświadczenie:

Przed kilku miesiącami, na wielokrotne listowne propozycje pana D......., w Krakowie zamieszkałego, powierzyłem mu rękopism powieści mojej pod tytułem: *Rodzina Konfederatów* (na co mam dowód pismienny ręką pana D....... pisany) a to pod warunkiem ogłoszenia jej drukiem na mój koszt. *Pan D....... tedy, a nie Wny Pol jest wyłącznym depozytarjuszem mojej własności.* Przed niedawnym czasem miałem ja zaszczyt odebrać list Wgo Pola, o którym w swoim do Redakcji pisanym Wny Pol wspomina, ale ten doszedł mnie we 12 dni po przesłaniu protestu do *Nowin,* nie wiedziałem więc przesyłając go, że Wny Pol jakikolwiek udział miał w publikacji, która wywołała protest. Mógł Wny Pol pośredniczyć w układzie z Redakcją Czasu, ale manuskrypt wydał do przerobienia pan D..... a kondycje pod któremi powierzyłem go, panu D.....

tylko wiadome były, i nikogo innego prócz depozytarjusza nie obowiązywały; z tych powodów oświadczam, że protest o nadużycie zaufania tak w całości, jak w części, nie dotyczy w niczem ani Wgo Pola ani Redakcji Czasu, ale tego kto manuskrypt odebrał, i z odebranego pokwitował mnie, żadnej tedy pretensji z tytułu publikacji powieści mojej w Dodatku Czasu nie mam ani do Wgo Pola, ani do Redakcji, i za obcych zupełnie tej sprawie uważam. Co zaś do honorajum, które ja sam mam oznaczyć, tego nie żądam i nie przyjmę; nie mając bowiem żadnego udziału ani w publikacji, ani w układzie z Redakcją Czasu, nie widzę słusznością wynagrodzenia pobierać; z resztą nie wiele ta praca w opinji Redakcji musi być warta, kiedy zamieszczenie takowej w Dodatku swoim, tylko po zupełnem przerobieniu uznała za stosowne.

K. S. Bodzantowicz.

Rozmaitość.

* **Skutki czytania romansów.** W Królewcu przed sądem przysięgłych stała osiemnastoletnia dziewczyna, która jak sama twierdziła, wykształciła się na romansach, i miała stosunek miłośny z jednym młodym człowiekiem. Ten został skazany na więzienie; kochanka jego postanowiła dzielić jego nędzną celę, i z tego powodu popełniła jakąś kradzież domową, a gdy to się nie udało, próbowała zabić się, lecz i to spełzło na niczem. Wystąpiła tedy z oskarzeniem naprzeciw siebie samej, jakoby zabiła dziecko własne. Lecz gdy przyszło do procesu, okazały się wszystkie jej zarzuty, samej sobie czynione fałszywemi, i puszczono ją na wolność.

* **Dziwactwo.** Piotr Lamésangère, duchowny francuski, przeszedłszy w czasie rewolucji francuskiej do stanu świeckiego, objął redakcją dziennika: *Journal des dames et des modes* i prowadził ją aż do roku 1831. Był to wielki dziwak. Wychodząc, nie brał z sobą parasola. Gdy go deszcz złapał, wstąpił do sklepu i kupował sobie parasol. Zapomniawszy w domu tabakierkę, kupował sobie nową w pierwszym lepszym sklepie. Nigdy nie wracał do domu nic nie kupiwszy. Po jego śmierci znaleziono w garderobie przeszło tysiąc par pończoch jedwabnych, 2,000 butów, 6 tuzinów błękitnych surdutów, 100 kapeluszy, 48 parasoli i 91 tabakierek.

* **Ludzkość sędziego.** Pewien sędzia w Texas, skazawszy jednego zbójcę na śmierć, w te słowa ozwał się potem do niego: Jones! sąd najwyższy zamyśla ten wyrok twojej śmierci aż do wiosny odroczyć; ale teraz jest zimno a nasze więzienie znajduje się w opłakanym stanie. Okna potłuczone, piece się kurzą, a liczba więźniów jest tak wielka, że tylko po jednemu kocu dać im możemy. Z tych więc powodów, i aby cierpienia twoje jak najwięcej ukrócić, postanowiliśmy, aby wyrok śmierci jutro wykonano, gdy zjesz śniadanie, o godzinie, którą kat sobie wybierze, i która tobie będzie najdogodniejszą.

* **Holenderska czystość.** — Chcesz służyć u mnie przyjacielu?

— Tak jest mój panie.

— Ale czy jesteś czysty?

— Tak jest mój panie.

— Muszę spróbować ciebie. Jak się nazywasz?

— Jakób, panie.

— Jakubie ja idę na bursę. Zrób tymczasem porządek, ale żeby wszystko było czyste. Potem dopiero zobaczemy, czy możemy zostać razem.

Pan poszedł do bursy a sługa wziął się do czyszczenia. A tak wszystko świeciło się jak zwierciadło. Jakób na to niezważał, ale tarł i czyścił dalej co się wlazło, bez końca. Pan gdy powrócił, oglądnął się w około, i był uradowany. Czyściejszego pokoju nie było pewnie w całym Amsterdamie. Wszakże dla próby położył on na podłodze mały skrawek papieru; już go nie zastał. Pan się uśmiechnął.

— Jesteś czysty! wyrzekł, możemy zostać z sobą.

Nazajutrz oglądnął się w około. W trzewikach można było się przeglądać. Pan znowu uśmiechnął się.

— Podaj surdut Jakubie! idę na bursę.

— Jest tu panie!..

— Jesteś czysty Jakubie! możemy zostać razem. Daj mi kapelusz.

— Wyczyszczony należycie! Możemy zostać z sobą. Laska maja.

— Tu panie!

Zbladł pan, zbladł za nim sługa.. Pot wystąpił na twarz pana Cały zatrząsł się jak w febrze.

— Jakubie! drżącym ozwał się głosem. Nie możemy razem zostać. Patrz tu na skuwce jest jeszcze kawałek wczorajszego błota. Masz ryńskiego. Idź z bogiem. Nie możemy z sobą zostać.

Nowiny lwowskie.

* Niedawno stracił Lwów, można nawet powiedzieć Galicja, znakomitego artystę, malarza Jana Łuczyńskiego, człowieka z wielkim talentem. Celował szczególniej w malowaniu krajobrazów, kwiatów i owoców, ale i historyczne przedmioty i portrety z wielką biegłością malował. Niestety dla słabości swego zdrowia, zwłaszcza, że przez dwa lata ciągle prawie chorował, wiele obrazów nieukończonych zostawił, ale i w tych widać jego talent i myśl szczytną w kompozycyi; znawcy i nieukończone obrazy cenić będą, ukończone ze wszelkich względów zasługują na pochwały. Jedne i drugie te obrazy wystawione są w księgarni pana Kallenbacha, także w handlu p. Jürgensa i p. Bogdanowicza, którzy z grzeczności raczyli się podjąć sprzedaży tych obrazów na korzyść sierot, po ś. p. Łuczyńskim pozostałych.

* **Mody.** Do poprzedniego numeru dołączone mody przedstawiają: *Pierwsza figura*, bogaty bardzo negliżyk ranny. Cały zbiałego tiulu, bogato haftowany, i wstawkami koronkowemi obszyty. Spodnica na przodzie otwarta, obszyta szeroką koronką w zęby. Stanik na przedzie, spięty guziczkami z perełek. Rękawy rozwarte na przedzie, spojone sznelkowemi sznurkami, i także przepaska z długiemi końcami, barwy jasno zielonej. Pod spodem druga spodnica jedwabna, jasno zielona. Czypeczek ranny koronkowy z ubraniem z róż i jasno zielonych wstążek. Pantofle węgierskie. Bransoletki wyrabiane. Rękawiczki skórkowe.

Druga figura przedstawia suknię z materyi jedwabnej, barwy fioletowej, na niej szutki w kształcie palm, jak je na szalach używają. Stanik obszyty sznelkowemi frędzlami, mającemi te same co na palmach odcienia. Kołnierzyk i wystające rękawki koronkowe. Kapelusz jedwabny paliowy, ubrany w białe blondyny; na bok spadają pióra paliowe. Przy samej głowie bukieciki z fiołków parmezańskich. Rękawiczki skórkowe. Buciki jedwabne fioletowe.

Arkusz wzorów przedstawia: 1) Formę mantylki kolistej. 2) Alfabet gotycki do haftu. 3) Alfabet angielski. 4) Kołnierzyk. 5) Czepek do haftu. 6) Rękawki. 7) Rogi haftowane od chustki. 8) fartuszek na piersi dla dzieci.

* **Konkursa:** Posada zarządcy przy dyrekcji żup solnych w Wieliczce, z pensją 800 złr. termin podania do 15 kwietnia. Posada diurnisty konceptowego z płacą 2 złr. dziennie przy cyrkule w Kołomyi, termin podania do 15 kwietnia. Kilka posad na woźnych przy finansowej dyrekcyi we Lwowie z pensyą 250 złr., termin podania 10 kwietnia. Posada odźwiernego przy finansowej dyrekcyi we Lwowie z pensyą 116 złr. termin podania do 20 kwietnia.

Przyjechali od dnia 19. do 21. Marca do Lwowa.

PP. Waydowski Max. z Borszczowiec. Debrski Kar. z Radrusza. Walewski Alex. z Kłodna. Obertyński Wład. z Sowczyna. Sochocki Ant. z Choronowa. Sliwiński Woj. z Dąbrowicy. Ks. Sapieha Adam z Krasiczyna. Chalecki Konst. z Gródka. Bogdański Edw. z Zabłociec. Kuzmiński Leon z Tarnopola. Bacco Kar. z Manasterzysk. Dwernicki Alex. z Stanisławawa. Brunicki Józ. z Podhorzec. Chrzanowski Ign. z Cwitowy. Grochowalski Kar. z Tucznego.

Hr. Żeliński Wit. z Brzeska. Łink Lub. z Komarna. Krajewski Nik. z Turzego. Herman Leo. z Rzepniowa. Doliński Jan z Remenowa. Karniewski Woj. z Łopatyna. Obertyński Mich. z Janowa. Graeck Jul. z Brzeżan. Kubicki Kar. z Budzimirza. Odrobiński Hil. z Liska. Rudnicki Stan. z Toporowa, Gołembski Jan. z Juszkowiec. Ostaszewski Sew. z Buczacza. Domaradzki Wład. z Glinian. Kienoszewski Wład. z Kutyszcz. Wiktor Tad. z Swirza.

Wyjechali od dnia 19. do 21. Marca ze Lwowa.

PP. Cetwiński Klem. do Rawy. Pietruski Konst. do Rudy Torosiewicz Maur, do Ostrowa. Metelski Ber. do Rawy. Łodyński Hier. do Milatyna. Zalewski Fran. do Zameczka. Łączyński Hip. do Liska. Trzecieski Tyt. do Polski. Pohorecki Alex. do Horplina. Winnicki Tyt. do Nowosiółek. Łodyński Ign. do Wiszni. Skrzyszewski Joz. do Sewerynki. Kossowicz Wład. do Tustyna. Bykowski Stan. do Buczacza. Cywiński Andr. do Delejowa.

PP. Niezabitowski Fran. do Utherec. Tatarkiewicz Al. do Dobromila. Kautzki Fran. i Oczyński Mich. do Janowa. Fałkowski Mich. do Głuchowa. Udrycki Adolf do Choronowa, Zbrożek Onuf. do Wierzbiąża. Lipiński Ant. do Mogielnicy. Komarnicki Bol. do Jackowiec. Berger Aug. do Steblan.

Wczorajszy **Kurs Lwowski**		Gotówką					towarem	
Dukat holenderski	złr.	4	kr.	45	złr.	4	kr	48
Dukat cesarski	„	4	„	46	„	4	„	49
Półimperyał zł. rosyjski	„	8	„	13	„	8	„	18
Rubel papierowy	„	—	„	—	„	—	„	—
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	35	„	1	„	36
Talar pruski	„	1	„	30	„	1	„	32
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	9	„	1	„	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	85	„	12	„	85	„	50
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		76	„	3	„	76	„	45
5 proc. pożyczka narodowa		85	„	—	„	86	„	—
Śrebro		103	„	30	„	104	„	30

☞ Do dzisiejszego Numeru dołączony jest **Dodatek.**

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY" Nr. 36 z roku 1856.

1856. Frühlingsgruß an Damen!

Modernste Confectionen

zum beginnenden Lenz auf einem großen, prachtvollen Original-Tableau in reichhaltiger Auswahl und mit entzückender Grazie entworfen von **Mlle. Heloise Leloir** in Paris, der anerkannt intelligentesten Schöpferin im Reiche der Mode. — Besonderes Interesse dürften die darauf ersichtlichen **6** Frühjahr-Mantillen der allerneuesten Façon erregen.

„Entsagen."

Poesie von **Hyacinth v. Schulheim**, in Musik gesetzt von **Ferd. Wiesner.**

Diese recht gelungene Composition erfreute sich seither in engeren Kreisen als Manuscript eines so ungetheilten Beifalls, daß deren Verbreitung durch den Druck willkommen sein dürfte.

Mit diesen **beiden unentgeltlichen Mehrbeigaben** überrascht die erste Lieferung des nun beginnenden **II. Quartals** der allgemeinen beliebten

IRIS. Pariser & Wiener Damen-Modenzeitung. 1856.

ihre sämmtlichen **verehrten Abonnentinnen** aller 3 Ausgaben als Beweis tiefgefühlter Achtung.

(Paris — Wien — Leipzig — London — New-York — Bruxelles.)

Auffallend mehrt sich von Tag zu Tag der Theilnehmerkreis an diesem, durch 8 Jahre (4mal im Monat) erscheinenden und mit unermüdeter Sorgfalt gepflegten Journal; freudig begrüßten wir die Rückkehr einiger momentan Ungetreuen, welche durch pomphaftes Anpreisen von Nachahmungen dieses Unternehmens verlockt, zur Ueberzeugung gelangten, daß „Iris" an Neuheit, Eleganz, Reichhaltigkeit, praktischem Werth und prachtvollen Originalen (nie Nachstichen) bei kaum glaubbar niederem Preise **unbestritten des Vorzuges** vor allen ähnlichen Erscheinungen würdig ist.

1500 Gegenstände auf 110 Kunstbeilagen, 48 color. Costumbilder, 12 col. Lingerien, 12 col. Tapisserien, 32 Musterbogen, 59 Patronen, Musikbeilagen, 48 Mappen Kunstschule, 77 Bogen Unterhaltungslectüre, Anzeiger 2c., Preisaufgaben mit gratis Prämien u. s. w. u. s. w. bilden einen Jahrgang.

Preise im Quartal:	für die Ausgabe Nr.	1	mit jährlichen	110	Kunstbeilagen	3 fl.
		2	„	90	„	2 fl.
		3	„	50	„	1 fl.

Eine Erhöhung dieses, im Verhältniß des Gebotenen überraschend billigen Preises ist weder Buchhandlungen noch Postämtern gestattet.

Wöchentlich schnelleren Empfang (bereits am Erscheinungstage) sichert der Bezug durch Briefpost unter Adresse, 30 kr. mehr beanspruchend, und wollen in diesem Falle Anmeldung und Pränumerations-Betrag franco direct adressirt werden:

„An die Administration der Iris in Graz."

Zu geneigten Aufträgen empfehlen sich sämmtliche Buchhandlungen, insbesondere:

(D. 87. 1—3.) **Carl Wild** in Lemberg, so wie **Joh. Milikowski** in Lemberg, Stanisławow und Tarnow.

Handel towarów płóciennych,

woskowych i herbaty

Fryderyka Schubutha

we Lwowie,

przy rynku pod liczbą 173, obok księgarni pana K. WILDA,

poleca swój skład

w najlepszym i najświeższym doborze

chińskiej Pecco herbaty i prawdziwej rossyjskiej karawanowej herbaty Pecco,

po następujących cenach:

Nr. 1	Pecco herbata czarna bez kwiatu,	funt po	1 złr.	20 kr.
« 2	« « średniej jakości z kwiatem	« «	1 «	36 «
« 3	« « przedniej « «	« «	2 «	— «
« 4	« « bardzo przednia « «	« «	2 »	30 «
« 5	Herbata praw. ross. karawanowa « «	« «	3 «	— «
« 6	» « « przednia « «	« «	3 «	30 «
« 7	« karawanowa familijna	« «	4 «	— «
« 8	« « « najprzedniejsza «	« «	5 «	— «

Ostatni gatunek herbaty w puszkach ozdobnych porcelanowych,

cała wielka puszka po		10 złr.
średnia	» »	8 «
mała	« «	7 «

Wielki odbyt naszego handlu w tym właśnie artykule, ułatwia nam dostarczanie kupującym świeżego zawsze i dobrego towaru. — Zamówienia pocztą z prowincyi uskuteczniamy szybko i rzetelnie.

☞ **Dla uniknienia pomyłek prosimy na powyższe oznaczenie firmy handlu zwrócić uwagę.**

(G. 76. 3—15)

Do P. T. Rodziców i Opiekunów.

Zaufanie, jakiem mnie rodzice i opiekunowie przez ośmnastoletni przeciąg utrzymywania konwiktu żeńskiego w Tarnowie zaszczycali, ośmiela mnie, przy zmianie stosunków rodzinnych, przenieść mój konwikt za pozwoleniem W. Rządu do Lwowa. Tuszę sobie, że i tu, jako żona, matka dwóch córek, i tyloletniem doświadczeniem wsparta przewodniczka w nauce i wychowaniu panienek jak najstaranniejszem, pozyskam zaufanie, a zarazem, czego najusilniej pragnę, zasługę według sił moich dla ludzkości położę. W tym to celu podaję do wiadomości powszechnej, iż otworzyłam konwikt wychowania i kształcenia panienek przy placu Dominikańskim pod liczbą 181. Pragnę rodzicom i opiekunom podać jednę z więcej sposobności umieszczenia córek i kształcenia tychże, do czego mię wiedzie przekonanie, iż pozyskane dawniej zaufanie nauczycielki i zastępczyni rodziców, gorliwem i sumiennem pełnieniem obowiązków urzetelnić potrafię.

Program konwiktu mego, wyszczególniający zakres nauk i porządek domowy, równie jak i warunki przyjęcia do konwiktu tak na miejscowe jako i dochodnie uczennice, doręczę przy zgłoszeniu się P. T. Rodzicom i Opiekunom.

Konstancja Łazowska,

właścicielka konwiktu.

(D. 47. 6)